



TAM GDZIE MIESZKAM

BRENDA RUFENER

 Young

TAM GDZIE MIESZKAM

BRENDA RUFENER

Przełożyła Edyta Świerczyńska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Where I Live

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Wydawca: Agata Garbowska

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © JG_05 (Shutterstock.com)

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2018 by Brenda Rufener

All rights reserved.

Copyright © 2020 for the Polish edition by Young

an imprint of Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2020

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzednie-
go uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2020

ISBN 978-83-66520-31-8



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

„Musisz być jak kwiat lotosu rozpościerający
swoje płatki wraz ze wschodem słońca, niepomny
szlamu, z którego wyrósł, ani nawet wody, która
jest jego źródłem życia!”

– S. Baba



Rozdział 1

MÓWI SIĘ, że wszystkich nas od bezdomności dzieli jeden krok. Jedna zła decyzja. Jeden błędny wybór drogi. Jeden problem nie do przełknięcia.

Ja mówię: bzdura.

Krok od testu ciążowego w drugiej klasie liceum? Być może. Przedawkowanie napojów energetycznych? Możliwe. Zjechać z urwiska? Niewykluczone. Wszyscy jesteśmy o krok od zimnych objęć śmierci. Ale bezdomność? Ja wyprzedzam ją o krok. A dzięki zasadom, które sobie opracowałam, nie dam się jej przegonić.

Zasada nr 1: Zapobiegaj drzemkom na lekcjach.

Bo nauczyciele potrafią wywęszyć senność jak zapalonego papierosa. A unoszący się dymek ściąga niepożądaną uwagę. Nieważne, że tej nocy spałam tylko półtorej godziny, oparta o ścianę łóżki dla bejsbolistów. Nieważne, że moim matera-

cem była ziemia. Gdy jestem na lekcji, wbijam paznokcie we wrażliwą stronę nadgarstka i sprawiam sobie na tyle bólu, by oczy mi się nie zamykały, a umysł pracował. Jeśli udaje mi się dostać do środka, z dala od zimna i wiatru, i przespać całą noc, sińce na mojej ręce zmieniają kolor z indyga na fiolet. Oczy i uszy szeroko otwarte; czujność, czujność, czujność. Oto ja, Linden Rose.

Zasada nr 2: Nigdy nie noś przy sobie zbyt wielu rzeczy.

Bo gdyby mój plecak się przewrócił i wysypała się z niego zawartość w postaci torebeczek różowego mydła w proszku czy niedojedzonych bułek obiadowych, ściągnęłabym na siebie sokołe spojrzenia i niewygodne pytania. Nauczyciele mogliby zacząć się zastanawiać, dlaczego taszczę rzeczy, których miejsce jest w komodzie, lodówce albo szafce łazienkowej. Nie potrzebuję rozgłosu – ani tego dobrego, ani złego, z niczyjej strony, nawet przyjaciół.

Zasada nr 3: Zachowuj pozory.

Bo teoretycznie nikt nie powinien się połapać po moim ubraniu, wyglądzie czy zapachu, kim jestem. Ludzie dobrze wiedzą, czy się myjesz, czy dwa dni z rzędu masz na sobie tę samą bluzkę albo schudłaś kolejny kilogram. Trzeba pamiętać o wszystkich szczegółach. Najbardziej trywialna rzecz staje się najważniejsza, a to znaczy, że muszę się nieźle nagimnastykować, żeby zejść z oczu całemu Liceum Hinderwooda. Oczu, które bezustannie się przyglądają, szukają poszlak i analizują.

Jeśli chcę, żeby moje życie było coś warte, te oczy nie mogą zobaczyć, kim naprawdę jestem.

Kim ze wszystkich sił staram się nie być.

Bezdomną dziewczyną ukrywającą się pod ich nosem.

Czubkiem buta trącam drzwi, uchylając je na tyle, by zajrzeć do środka i upewnić się, że spod kabin toaletowych nie wystają żadne nogi, a prysznice są wyłączone. W salce panuje cisza, jeśli nie liczyć sporadycznie niosącego się echem gwizdka trenera Jenkinsa. Rzucam plecak pod ścianę i ruszam prosto do umywalki. Moczę palce i przemywam twarz i zęby – powinienam była to zrobić zaraz po przebudzeniu, ale moja codzienna poranna toaleta została przerwana przez trening futbolowy i tupot korków. Zawodnicy zazwyczaj odcedzają kartofelki, zanim zaczną kopać, blokować i rzucać. Luksus.

To czwarty dzień drugiego tygodnia mojego drugiego roku w tej szkole. Przez ostatnie trzy dni spałam łącznie osiem godzin, a gorący kubek zalany kranówką na śniadanie był bardzo złym pomysłem. Żołądek mnie pali, oczy pieką i gdy tylko opieram się o chropowatą betonową ścianę, powieki same mi się zamykają, a ciało składa się w zapadniętą literę „U”. Pięć minut snu to wszystko, czego potrzebuję, nawet bardziej od kąpieli z bąbelkami. Ale w dziewięćdziesiątej sekundzie mojej drzemki nagle za drzwiami rozlega się czyjś ryk i aż podskakuję.

– Trener chce trzy ręczniki! – Poznaję ten głos. Toby Patters. Wrzeszczy rozkazy i pewnie pręży mięśnie przed nosem jakiegoś pierwszaka, żeby go zastraszyć. Jego inicjały znaczą chyba Totalny Palant.

W panice uciekam do najbliższej kabiny, zamykam zasuwkę, podciągam kolana pod brodę i kładę stopy płasko na niegdyś białej, a obecnie pożółkłej desce sedesowej. Nagle coś z hukiem uderza w ścianę, a ja nabieram powietrza, jakbym nurkowała głową w dół.

Słysząc stęknienie, a potem jęk.

Przechylałam się, żeby zobaczyć, kogo diabli nadali, ale udaje mi się dostrzec tylko jego ochraniacz obleczoney fioletowo-złotą koszulką. Numer 22. „BONNER”. Na pewno pierwszy, bo jego nazwisko nic mi nie mówi. Gdyby na koszulce widniał „PATTERS” albo „CLEMMINGS”, bardziej by mnie to obeszło. Troszkę bardziej. Ale teraz nieistotne, kto to. Ważny jest mój plecak, a jeszcze ważniejsze to, gdzie się znajduje. A leży przy umywalce, rozsunięty i gotowy do inspekcji. Mimo że jako zatłuszczony i zakurzony obraz nędzy i rozpacz jak najbardziej pasuje do chłopięcej szatni, jest też otwarty, co oznacza, że moje szmatki są na widoku. Mówiąc „szmatki”, mam na myśli znoszoną bieliznę i stanik.

Słyszę, jak korki rysują podłogę, gdy Numer 22 mija mnie i uderza o ścianę najpierw dłonią, potem łokciem, a na końcu czołem. Uśmiejam się na ten widok, lecz nagle nogę przeszywa mi ostre ukłucie bólu, bo przecież balansuję na tej desce w pozie przykucniętego gargulca. To jeszcze nie skurcz w pełni rozkwitu, ale jest na dobrej drodze. Woda. Prosty luksus. Taki, którego potrzebuję więcej w swoim życiu, w swoim ciele. Zaniegadałam go, nie mogąc znaleźć butelki na wodę, której używałam przez ostatni miesiąc.

Okazuje się, że parę łyków z poidelka nie wystarczy, by uzupełnić płyny, które tracę, pocąc się. A przynajmniej nie w cieple dni końca lata, kiedy uciekam przed ochroną. Ale teraz nie pora myśleć o pragnieniu. Głowę zajmują mi ważniejsze sprawy, na przykład jak pozostać niezauważoną. Wyglądam przez szparę w drzwiach, balansując na desce i próbując rozmasować bolące udo. Numer 22 stoi przy ławeczce i dłonią w rękawicy przerzuca złożone ręczniki. Nagle wrzeszczy:

– Ile ręczników?!

A ja znowu podskakuję. Nikogo więcej tu nie ma, gościu. On jednak wygląda, jakby czekał na odpowiedź, więc oczywiście postanawiam telepatycznie skomunikować się z nim w tej sprawie. „Trzy. Trzy ręczniki, Boner. To znaczy Bonner”.

Numer 22 mruczy pod nosem:

– Powiedział, że dwa? Nie. Nie. Trzy. – Jestem zaskoczona, że potrafi liczyć aż do tyłu, ale jeszcze bardziej cieszy mnie, że teraz, gdy już znalazł to, czego szukał, wreszcie zmyje się z mojej łazienki.

Jego korki drapią beton, po czym milkną. Potrząsam nogą i wstrzymuję oddech, próbując zachować równowagę.

– Co do...? – mówi.

Przewracam oczami i nachyliwszy się, upewniam się w tym, co już wiem.

Zauważył mój plecak.

Żaden z tych małomiasteczkowych futbolistów nie jest takim tumanem, na jakiego wygląda. A przecież w stadzie zachowują się jak skończone tępaki.

Filuję przez szparę i widzę, jak Numer 22 podnosi mój stanik, owija sobie ramię wokół nadgarstka, przykładając je do rozszerzonych nozdrzy i wącha. F u j. Drałuje do wyjścia i krzyczy:

– Kto wczoraj zaliczył i zapomniał się podzielić łupem?

Okej, zapomnijcie o tym, co powiedziałam o jednostkowej inteligencji. Tak, cofam to.

Cofam też głowę i wbijam wzrok w sufit, starając się nie poruszyć. Gdy wstrzymuję oddech, skurcz w udzie daje o sobie znać ze zdwojoną siłą. Moje spocone dłonie zaczynają się ześlizgiwać, a kiedy desperacko próbuję złapać się deski, stopa zjeżdża z niej, a noga odruchowo podąża za nią i uderza z hukiem o drzwi kabiny.

– Kto tu jest? – pyta szeptem Numer 22.

Wstrzymuję oddech.

– Pytałem: kto tu jest? – powtarza.

Odmawiam odpowiedzi. To wcale nie ja. Ja tak nie robię. To nie Linden przemyka niezauważona, ukrywając się praktycznie na widoku. Ale kiedy masz tylko dwa cholerne staniki, a twój ulubiony i najmniej znoszony jest owinięty wokół dłoni Edwarda Kiełbasorękiego, trzeba podjąć natychmiastową decyzję. Bez względu na cenę.

Wzdycham głośno i dla efektu przed samą sobą otwieram pstryknięciem zasuwkę, jakbym strzepywała kleszcza z ręki, po czym wymierzam drzwicom kopniaka niczym urodzony ninja. Uderzają w sąsiednią kabinę z takim łoskotem, że aż trzęsie się ściana.

– Hej! – wołam, wystawiając rękę i kiwając palcami w przywołującym geście. – Oddawaj stanik. Należy do mnie.

– Eee... ty... ee... szatnia... ee... chłopaków...

Mam ochotę zatrzaskać tę jego opadniętą szczękę, ale zamiast tego zrywam stanik z jego nadgarstka i przewieszam sobie przez ramię. Jasne, mogłabym zostać i odpowiedzieć na wszelkie pytania.

Mogłabym nawet powiedzieć mu prawdę o tym, dlaczego zostawiam rzeczy w szatni chłopaków, a nie dziewczyn. Ale co to by była za zabawa? A poza tym oprócz niewielkiej satysfakcji to za duże ryzyko jak na tak mizerną nagrodę. I w ogóle co zrobiłby potem z tą informacją? Podzielił się nią z kimś? Już planuje, komu powiedzieć. Widzę to w jego oczach. Ale chyba jest jak krowa, która dużo ryczy, a mało mleka daje. Może to tylko czcze pogrożki. A przynajmniej pozostaje mieć taką nadzieję. Cały ten tydzień to pasmo katastrof i uników

w ostatniej chwili. Kolejna runda przesłuchań u dyrektorki może uruchomić alarm, którego wcale nie potrzebuję.

Obracam się na pięcie i ruszam w kierunku plecaka, potrząsając nogą, żeby pozbyć się skurczu. Nasłuchuję, czy korki Numeru 22 zazgrzytają w drodze do wyjścia. Wyjdzie, gdy tylko otrząśnie się z szoku.

Po pięciu długich sekundach drzwi otwierają się z łoskotem, a Numer 22 wychodzi, krzycząc: „Trenerze! Trenerze!”, z każdą samogłoską coraz bardziej piskliwie.

Wciskam stanik do plecaka i biegnę do drzwi. Obliczam, że mam jakieś dziesięć sekund, zanim zjawi się trener w towarzystwie dyrektorki. Rozglądam się w prawo i w lewo, po czym ruszam pędem przez korytarz. Tylko tego mi trzeba, żeby zostać przyłapaną przez trenera Jenkinsa w szatni chłopaków. Nie słuchałby mnie i co za tym idzie – nie zrozumiał. Wie pan, korzystanie z szatni chłopców jest łatwiejsze. Chłopcy siedzą w łazience krócej niż dziewczyny. Wchodzą i zaraz wychodzą. Kolejki do damskich toalet zawsze są dłuższe niż do męskich. Taka prawda.

Wślizguję się na główny korytarz i słyszę wyjątkowo dużo głosów jak na tę porę. Nieopodal głównego wyjścia tworzy się grupka uczniów przeciskających się do schodów. Gdy sprawdzam, czy w pobliżu nie ma trenera Jenkinsa albo Numeru 22, za ramiona łapią mnie czyjeś dłonie i ściskają. Odwracam się na pięcie z zaciśniętymi pięściami i wbijam napastnikowi łokieć w brzuch.

– Chryste, Linden. – Ham odkaśluje teatralnie.

– Chryste, Ham. Przestraszyłeś mnie.

– Coś taka nerwowa? – Uśmiecha się i masuje mi kark.

Potrząsam ramionami, odganiając jego pytanie.



Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 **www.facebook.com/kobiece**



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059